



Była pogodna wrześnieowa noc. Poprzez niebo jak przez ogromny przetak przeświecała gwiazdami wieczność. Błady sierp księżyca na nowiu wychylił się właśnie nad lasem.

Piaszczystym gościńcem wzdłuż jeziora biskupińskiego włókł się skrzypiąc długi sznur ładownych wozów, zaprzężonych w woły. Przy każdym wozie szło dwóch pacholków z oszczepami w pogotówiu, jako że czasy były niespokojne i okolice roily się od opryszków i hultajów. Za każdym wozem szły po dwa piękne rumaki, po cztery dorodne jałowice i stada wielkorogich baranów. A na wozach leżały worki z pszenicą, jęczmieniem i owsem, krupy wszelkiego rodzaju i dębowe kadzie z lipcowym miodem. Wszystko to stanowiło daninę wiezioną dla możnego pana, Jana Płomieńczyka Nałęczka, zwanego też od zamku i wioski rodowej panem weneckim.

Na pierwszym wozie siedziała sama starszyzna: sołtysi i rajcy z Oćwieka, Komratowa, Gąsawy, Złotnik, Marcinkowa, Łysina i innych sąsiednich włości. Wszyscy byli krajanami, Pałukami, wszystkich gniotła ta sama troska, więc też gwarzyli sobie przyjaźnie, uskarżając się na wspólną niedolę.

— Oto zaraz po żniwach przysłał do nas swych poborców — prawil wójt Józwa Olbrzych z Oćwieka — i wprost z pola kazał ładować co piątą kopę pszenicy, i własnym zaprzęgiem odesłać do Wenecji.

— A u nas z pastwisk pacholki weneccy zajęli dwadzieścia krów dojnych i drugie tyle dorodnych jałowic i byczków nie py-

tając się nawet, czyje to, i wszystko pognali do zamku dla pana — uważał się rajca z Łysina. — Wysłaliśmy do dziedzica dwóch radnych ze skargą na bezprawie i gwałt pacholków zamkowych, to kazał ich wtrącić do lochów i zapowiedział, że jeśli mu nie doślemy we dwie niedziele dwóch pięknych rumaków dobranych do maści, barylki miodu i kopy wędzonych sandaczy, to każe obwiesić obu radnych na szubienicy.

— A z nami to myślicie, kumie, że postąpił inaczej? — rzekł Jędrzej Dulęba ze Złotnik — dziesięć koni odesłać musieliśmy panu, cztery nowiutkie kute wozy z zapaśnymi kołami i kopę najprzedniejszych podków, a ile kulbak, uprząży, batów! Wszystko mało. Tak samo osadził w areszcie dwóch naszych rajców, a stryjców moich i grozi śmiercią, jeśli ich nie wykupim.

— I to ma być sędzia poznański sprawujący roki w królewskim imieniu? — dorzucił ponuro Maćko z Gąsawy.

— Łotr, zdzierca, krwawy diabeł wenecki! — dogadywali inni.

Potem zaczęli gwarzyć o najświeższych nowinach krajowych, o tym, że miłościwie panująca królowa Jadwiga poślubiła księcia litewskiego i że może nowy król ukróci wreszcie samowolę i rozboje panów.

Właśnie dojechali do wielkiej zatoki Jeziora Biskupińskiego i skręcili na wschód. Na lewo pobłyskiwało między szuwarami wielkim półkolem Jezioro Weneckie, a hen w dali czerniał bór nad małym, ale głębokim Jeziorem Skrzyneckim.

Wśród tych trzech jezior, niby na wyspie obronnej, stał zamek srogiego sędziego poznańskiego, zbudowany z cegieł i wielkich głazów polnych, a nazwany Wenecją. Wokół zamku, w dolinie, rozsiadła się licha służebna wieś tej samej nazwy. Żaden herszt bandy zbójeckiej nie mógłby wynaleźć dla swego rzemiosła lepszej i bezpieczniejszej kryjówki na całych Pałukach.

Teraz, choć północ już dawno minęła, cały zamek jaśniał od rześzystych świateł i rozbrzmiewał muzyką i gwarem.

— O, widzicie, widzicie? — szepnął trwożnie Kuba Wojas z Biskupina — diabeł wenecki znów wyprawia czarcie wesele!

— A jakbyście wiedzieli, kumie — odrzekł mu również szep-tem Józef Olbrzych — toć to wszyscy wiedzą, iż dziedzic z Wenecji

zapisał własną krwią lucyferowi swoją duszę, byle się tylko życiem nacieszyć do syta.

— I ludzką krzywdą! — dodał inny.

— Nie inaczej, bez czartowskiej pomocy nie miałby takiej władzy nad ludem.

Jakby na dowód tych słów chłodny wiatr, jak zwykle przed świętem, powiał od jezior, gwiazdy zaczęły blednąć i pierwsze kury ozwały się po okolicznych wsiach. I oto jarzący się od świateł zamek wenecki zgasł nagle jak czarnoksięska latarnia, ucichły gwar i krzyki i tylko stado ogromnych, czarnych kruków zerwało się z pobliskich zarośli i z głośnym krakaniem poszybowało na wschód, w stronę ciemniejących na widnokręgu lasów.

Jadący na wozach, jako też pachołkowie, z trwogą pozdejnowali czapy i zaczęli żegnać się i głośno odmawiać „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś“, by złe duchy, opuszczające właśnie zamek, odpędzić od siebie. Nie upłynęło kilka pacierzy, gdy dojechali do wąskiego przesmyka, gdzie jeziora Biskupińskie i Weneckie zbliżają się do siebie na odległość kilku staj. Całą przestrzeń od jeziora do jeziora przegradzał wysoki wał obronny wzmocniony dębowym ostrokołem. W środku była ciężka brama z bierwion dębowych nabijanych hufnalami.

Przy bramie zatrzymała ich straż halabardników, a gdy się oznajmili, że przyjeżdżają z daniną z wsi okolicznych i po wykup swych kamratów-rajców, strażnicy zarechotali hałaśliwie:

— Z kamratów swoich to tam wielkiej pociechy mieć nie będziecie, bo już od wczoraj dyndają na szubienicy i krucy już ich trochę napoczęli, ale postronki szubieniczne jeszcze są całe i jak darami nie ułagodzicie jaśnie wielmożnego grabię na Wenecji, to i z wami to samo będzie.

Przybysze oniemieli z przerażenia i zbili się w trwożliwą gromadę.

— Dyc przecie przywieźliśmy jaśnie wielmożnemu dziedzicowi wszystko, co nam przykazano — ozwał się najśmielszy ze wszystkich Józwa Olbrzych.

— Swojemu panu trzeba przywozić skorzej, radośniej i więcej,

niż kazał — odrzekł jeden ze straży — wczoraj w południe minął termin wykupu zakładników.

— A teraz czekajcie cierpliwie i cicho pod wrotami, by i z waszej skóry bębnow nie wyprawiono — ozwał się drugi halabardnik. — Pan grabia długo w noc ucztował i teraz śpi, a biada, jeśli go kto przed południem obudzi.

Więc zziębnięci i głodni czekali pół dnia przed ostrokołem szykując się już na najgorsze.

Po południu wpuszczono przybyszów za ostrokół, a następnie poprzez most zwodzony na dziedziniec zamku. Przed wejściem, na tarasie zamkowym wysłanym szkarłatnym sukniem, stał głęboki fotel na kształt tronu, a na nim w karmazynowej todze, wdzianej na lekki półpancerz, ze złotym, grubym łańcuchem na szyi siedział Jan Nałęcz, hered de Venetiis i włości okolicznych oraz sędzia ziemski poznański. Za sędziowskim fotelem stali dworzanie w barwnych, pasiastych strojach wedle mody niemieckiej, z prawej strony pisarz sędziowski, a z lewej kat z mieczem, cały w czerwieni. W głębi dziedzińca, pod murem, stały trzy szubienice, na których kołysały się z wolna trupy zakładników włościąńskich.

Przybyli sołtysi i rajcy padli przed srogim sędzią na twarz i nie podnieśli się wcześniej, aż na wyraźny jego rozkaz. Potem pisarz sędziwego odczytał zebrany memoriał sędziowski, iż najwyższą powinnością poddanych jest posłuszeństwo i składanie danin należnych swemu prawowitemu panu.

— A za upór i opieszałość czeka was to, co spotkało waszych kumotrów — wskazał dłonią na szubienice.

Potem ekonom sędziwego zaczął wywoływać kolejno przybyłych i wyczytywał z listy wszystko, co każdy z nich winien dziś przywieźć. Okazało się, iż żaden nie miał całej daniny, temu brakowało stągwi miodu, temu parę baranów, ów miał za mało pszenicy... Próżno klęli się na Boga i przysięgali, że wszystko przywieźli zgodnie z nakazem i że chyba im pisarz w rejestrach dopisał. Sędzia wenecki uniósł się gniewem i kazał wszystkich zakuć w dyby. Jeden tylko rajca z Łysina doznał łaski w oczach grabiego, bo przywiódł mu dwa piękne ogiery, czarne jak noc, z białymi strzałami na czolach. Tego jedynego kazał puścić wolno do domu.

Straż i pacholcy weneccy rzucili się tymczasem do wyładowania wozów i do zakuwania w dyby nowych więźniów. Rozpoczął się płacz i lament ogólny.

Wtem przed mostem zwodzonym u bram zamku weneckiego zatętniły liczne kopyta końskie i rozległ się głos fanfar zwiastujących dostojnych gości. Grabia wenecki pchnął swego giermka, by dowiedział się, kto zacz przybył. Ten wrócił po chwili zdyszany, wołając już z dala, że to sam najjaśniejszy król polski, Władysław, przybywa do Wenecji na roki królewskie.

Sędzia wenecki pobladł okrutnie i począł szarpać z wściekłości złoty łańcuch na piersi.

— Jeszcze on nie król, jeszcze go Wielka Polska panem swym nie obrała.

Natychmiast wysłał dowódcę swej gwardii, by nie opuszczać mostu zwodzonego, a straży rozkazał szykować się do obrony zamku. Ale było już za późno. Straż przy bramie, przerażona samym imieniem królewskim, opuściła most zwadzony bez rozkazu, i wspaniały orszak wjechał na dziedziniec zamkowy.

Na czele jechało czterech strojnych drabantów z fanfarami zdobnymi w białe królewskie orły, a tuż za nimi oddział przybocznej straży królewskiej z krótkimi mieczami w dłoniach i wielkimi tarczami. Potem wkroczył na dziedziniec oddział łuczników i halabardników, a dopiero za nimi poczet panów i rycerzy polskich w pozłocistych zbrojach i różnobarwnych płaszczach.

Zajechawszy przed zamek wszyscy ustawili się w półkole, a ze środka orszaku wystąpił na wspaniałym białym rumaku jeździec ubrany bardzo skromnie w szary, barani kozuch podróżny. Lecz oto drabanci pochyłili przed nim ze czcią orły królewskie i odtrąbili uroczysty hejnał, a z orszaku panów polskich wystąpił kanclerz wielkiej pieczęci i oznajmił donośnym głosem:

— Miłościwie nam panujący z Bożej łaski Władysław, Król Małej i Wielkiej Polski, Szląska, Pomorza i Mazowsza, Wielki Książę Litwy i Rusi przybywa do Wenecji, by tu osobiście odprawić roki królewskie.

A król Władysław Jagiełło — on to bowiem był we własnej osobie — potoczył okiem po szubienicach, włościanach zakutych



w dyby, wozach pełnych dobytku, z których czeladź zamkowa przed chwilą wyładowywała spiżę i zwrócił się do dziedzica zamku:

— Wyście to dziedzic wenecki?

— Tak jest, Jan Nałęcz, hered de Venetiis i włości okolicznych, sędzia ziemski poznański — odrzekł hardo.

Król wskazał na szubienicę i zakutych w dyby, i rzekł powoli:

— Widzę, że pięknie sędzicie, mości sędzio poznański. Ale teraz prawem starszeństwa ustąpicie mi na chwilę sędziowskiego stolca.

Wnet drabanci królewscy otoczyli dumnego panka i sprowadzili go ze schodów, a król Władysław wolnym krokiem wszedł na krużganek zamkowy i zasiadł w sędziowskim krześle. Po prawej jego stronie stanął kanclerz królestwa, po lewej pisarz, a po obu stronach na schodach zbrojni halabardnicy. Król rozkazał rozkuć uwięzionych sołtysów i rajców i ogłosił wszem wobec:

— Otwieram roki królewskie, kto jest pokrzywdzony, prześla-

dowany lub ograbiony niech stanie przed oblicze królewskie i da świadectwo prawdzie.

Niedawni więźniowie przemienili się w oskarżycieli. A z podziemi zamkowych wyrzały zza krat blade twarze i ozwały się głosy:

— I my też świadczyć chcemy! I my też!

Na rozkaz królewski otworzono wejście do lochów i wyprowadzono na dziedziniec kilkadziesiąt postaci bardziej do trupów niż do żywych ludzi podobnych. Niektórzy mieli jeszcze żelazne łańcuchy na rękach i nogach i idąc pobrzękiwali nimi przed grabią weneckim. Ten bladł i zieleniał na przemian i coraz to sięgał prawicą po miecz u boku, ale dwaj królewscy drabanci baczili pilnie na każdy ruch magnata.

I rozpoczęły się roki królewskie, jakich zamek wenecki nie pamiętał: o mord, o tortury, o gwałt, grabież mienia, krzywoprzysięstwo, niewolę ludu.

— Szatan, czart, krwawy diabeł wenecki — oto były tytuły, którymi obdarzano najczęściej dziedzica Wenecji.

Król słuchał wszystkiego w milczeniu, ale po każdej nowej skardze oblicze jego stawało się coraz surowsze, a rysy nabierały wyglądu rzeźby kamiennej. Wreszcie gdy ostatni z ciemieżonych zakończył swoją skargę, król zwrócił się do zebranych:

— Kto świadczyć chce w obronie dziedzica Wenecji?

Głuche milczenie zaległo dziedziniec zamkowy. Wówczas król zwrócił się do magnata:

— Co macie, mości grabio, na waszą obronę?

— To, iż jestem wolnym panem de Venetiis i wsi sąsiednich i sędzią ziemskim poznańskim, i bez trybunału wielkopolskiego nikt mnie ani sądzić, ani więzić nie ma prawa.

Na to król:

— Kto jako sędzia mordował, więził i grabił niewinnych poddanych swoich, ten na prawo powoływać się nie może. Powinieneś, grabio, za zbrodnie swoje dziś jeszcze zawisnąć na jednej z tych szubienic, by ci jednak dać czas na poprawę, skazuję cię na wieczyste więzienie w zamku poznańskim i na konfiskatę wszystkich dóbr i majątności, które przechodzą odtąd pod władzę królewską.

Po czym rozkazał zdjąć z niedawnych więźniów żelazne łańcuchy i okuć w nie możnego dziedzica Wenecji. Polecił też, by cały inwentarz żywy i zapasy żywności rozdać wszystkim poszkodowanym włościanom.

W godzinę później orszak królewski, żegnany błogosławieństwem tłumnie zebranych wieśniaków, opuszczał zamek uwożąc z sobą skutego w łańcuchy diabła weneckiego i współników jego zbrodni.

O północy burza straszliwa rozszalała się nad okolicą, a pioruny jeden za drugim biły w zamek wenecki, że wreszcie zapłonął wśród nocy jak wielka pochodnia. Gdy nazajutrz okoliczni włościanie przybyli do Wenecji, by sprawdzić, co się stało, znaleźli zamiast zamku tylko dymiące ruiny. Jedni twierdzili, iż to szatan, kumoter diabła weneckiego, zburzył swą siedzibę, by nie służyła ludziom, inni byli zdania, że to słudzy możnego grafa, którzy w czasie roków rozbiegli się po okolicy, splądrowali i zburzyli zamek szukając ukrytych skarbów.

Jak było naprawdę, nikt się ani wtedy, ani później nie dowiedział. Od tego czasu zaczęło jednak w ruinach straszyć. O północy stada ogromnych kruków i wron zlatywały z hałasem do zamczyska, a wkoło murów rozlegał się tętent, i jeździec czarny na czarnym rumaku wjeżdżał w zamkowe podwoje. Potem w mrocznych oczodołach okien rozbłyskały światła, rozlegał się gwar i wrzawa, lecz przed świtem wszystko uspokajało się i cisza śmiertelna panowała wokoło. To krwawy diabeł wenecki odprawiał nadal swoje czarcie wesele.

Pastuszkowie, którzy paśli w dzień krowy wokół zamczyska, bo trawa tam była wysmienita, opowiadali między sobą, iż w głębokich lochach pod ruinami spoczywają ogromne skarby pilnowane przez złego ducha. Razu pewnego Jasiak Owczarzyk rzucił do lochu zamkowego czapkę swoją, a czarcie lichy wyrzuciło mu ją z powrotem napełnioną dukatami. Inni pastuszkowie poszli jego śladem, ale czart wyrzucił czapki z powrotem, napełnione tym razem krowim łajnem. A Wojtek Łęga, który zawsze stroił największego zucha i gadał, że się strachów nie boi, bo ich nie ma, wziął pewnego dnia z domu ogromną gromnicę, hubkę i krzesiwo,



chleba z serem w torbę i nic nikomu nie mówiąc poszedł szukać skarbów w lochach weneckich. Wrócił dopiero po trzech dniach, ale siwutki jak gołębek i z oczami, które do końca życia miały wyraz przerażenia. Gdy go ktoś zapytał, co widział w podziemiach zamku, kładł tylko palce na ustach i szeptał „tss...” uśmiechając się głupkowato i bezradnie jak dziecko. Zły napiętnował go na całe życie.

Imię zaś okrutnego dziedzica poszło w przysłowie i odtąd nazywano go nie inaczej, jeno diabłem weneckim.

